Rok 1938 11 grudnia Nr 50

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

RORATY

Mizerna, cicha
Stajenka licha,
W promieniach cała
Otworzy swe wrota,
By się ukoić gdzie miała
Dusz naszych tęsknota.
A wieki na Zbawcę czekała,
Duchowego łaknąc chleba —
Póki się Nieba
Nie otwarły wrota.

W Adwentu mrocznym rozświcie
Siódma świeci świeca
Na ołtarza szczycie
Jako Gwiazda Zaranna —
Przeczysta Panna.

Jej to najświętsza przyczyna,
Że na ołtarzu Jej Syna
Złota kaplica —
Jak ta mizerna cicha Stajenka,
Gdzie pośród sianka
Kolebała w Żłóbku Panienka
Bożego Baranka —
Dziś nam otwiera swe wrota
W promieniach cała,
By się ukoić gdzie miała
Dusz naszych tęsknota.

Dzięki Ci, Panno Przeczysta,
Za Najświętsze Ciało Chrysta,
Co nakarmi ducha chlebem.
Zanim nas obdarzysz Niebem.

Kazimierz Kalinowski.

„Kwiat miłości bliźniego"

Kapłan — i żołnierz. Jakież to dwa odmienne typy ludzkie! Zdawaćby się mogło, że nie mają z sobą nic wspólnego, coby ich łączyć mogło. A tymczasem zdarza się, że mundur żołnierski zamienia człowiek nie tylko na suknię kapłańską, ale nawet na habit zakonny.

Niedawno pisał „Dzwoneczek" o „apostole Sahary", ks. Fukold, który został nim właśnie po zrzuceniu munduru pułkownika armii francuskiej, oddawszy się całkowicie pracy misjonarskiej w Afryce.

Na drugim zaś krańcu świata — w Azji, inny znowu misjonarz katolicki, też były oficer wojsk francuskich, ks. Jaquinot, ratuje przed okrutnymi działaniami wojennymi wielkie masy Chińczyków, dochodzące do 300 tysięcy ludzi. Zabrawszy ich z zagrożonych okolic, wyprosił u japońskich władz wojskowych, by oszczędzono miejsce schronienia nieszczęsnych uciekinierów. Dowództwo japońskie uwzględniło prośbę misjonarza i ludności tej nic się nie stało, tylko samemu jej opiekunowi w dwóch miejscach kule przebiły sutannę.

W dowód uznania wielkoduszności bohaterskiego misjonarza — dowódca frontu szanghajskiego odwiedził ks. Jaquinota, podziękował mu i wręczył 10 tysięcy jen (moneta chińska) na biedne dzieci Chińczyków.

O całej tej sprawie pisała większy artykuł pogańska gazeta dla dzieci pod pięknym tytułem — „Święty Szanghaju Kwiat miłości bliźniego zakwitł w bojowym ogniu", a redakcja pisma wysłała do ks. Jaquinota jednego ze swych współpracowników, który podniósł niezwykłą pokorę zakonnika, przypisującego całą zasługę jedynie armii japońskiej i jej wyrażał swą wdzięczność.

Ks. Jaquinot liczy obecnie 60-ty rok życia, a od lat 20 pracuje w Chinach na Pańskiej roli dusz pogańskich jako misjonarz, porzuciwszy pracę profesora na uniwersytecie w Szanghaju. Niezwykły ten apostoł z czasów swych wojskowych wyniósł ciężkie kalectwo, stracił bowiem jedną rękę.

Oto jak się niekiedy łączą z sobą przedziwne dwa odmienne powołania: żołnierka i kapłaństwo. Ale na to trzeba, aby szczególna łaska Boża zapukała do duszy, która zrozumie wtedy, że największym bohaterstwem na ziemi — to oddanie się na usługi swym bliźnim dla ich zbawienia.



Na Zaolziu dziewczęta polskie w pochodzie.

Małpie potwory

(Dokończenie).

Spostrzeżono tam też, że szympansy lubią niezmiernie mrówki. Umieszczono więc klatkę w pobliżu drogi, którą wędrowały mrówki z mrowiska i z powrotem. Małpy jednak siedząc w klatce, nie mogły zlizywać ich z ziemi, jak to robiły kiedyindziej. Poradziły więc sobie w ten sposób, że zaczęły kłaść ździbła słomy w poprzek mrówczej drogi. Gdy zobaczyły, że na nie weszły mrówki — czemprędzej zlizywały je z wielkim zadowoleniem.

A zatem przekonał się uczony naocznie, że rzeczywiście małpy posiadają osobliwy instynkt, którego nie należy utożsamiać z rozumem i inteligencją ludzką.

Wiadomo też jak łatwo jest małpie naśladować różne czynności człowieka, na czym jednak często wychodzi poszkodowana, jak np. owa małpa w bajce, która za przykładem swego pana chcąc się ogolić, poderżnęła sobie brzytwą gardło. Inna znowu, której się bardzo podobała kąpiel jej pani, a nie umiejąc używać odpowiednich kurków do puszczania wody, poparzyła się boleśnie gorącą wodą — jaką sobie napełniła wannę.

Małpy, o których była mowa na początku artykułu, mimo swojej srogości bardzo lubią dzieci, to też bywały wypadki, że porwawszy niestrzeżone przez nikogo dziecko ludzkie, uciekały z nim w niedostępne kryjówki i tam je troskliwie wychowywały, oczywiście po swojemu, to znaczy, wyobrażając sobie, że jest to małe małpiątko. Z czasem dziecko takie zupełnie zdziczało i zdarzało się, że po wielu latach jacyś podróżnicy spotykali się w puszczach ze stworzeniem, o którym nie wiedzieli co myśleć, tak bowiem zachowywało się jak małpa, a jednocześnie przypominało budową ciała czy wydawanym głosem człowieka. Schwytany taki nieszczęśnik rzadko już kiedy wrócić może do społeczeństwa ludzkiego, z jakiego wyszedł, zanikły w nim bowiem niemal zupełnie wszystkie cechy ludzkie, a rozwinęły się tylko zwierzęce. To też, jak tylko może ucieka z powrotem do puszczy, w której się wychował, by tam dalej prowadzić swój marny żywot. Na ten temat jest dziś wiele ciekawych filmów.

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

— Przecież nóg nie ma, więc widzicie, że nie chodzi — odezwał się Tadzik Mały, sam swoim zwyczajem przestępując z nogi na nogę.

— Ee, dalibyście nam spokój, gospodarzu — rzekł Rogowicz, znacząc sobie na belce — nudzicie bez końca. Jedźcie w swoją drogę i nam nie przeszkadzajcie w robocie.

— Jak jest robota, to majdan widać chodzi — zaczął natręt na nowo — więc czemu nie chcecie sprzedać?

Na to Leszek Zawisza oderwał się od roboty, poszedł do wieśniaka i tonem stanowczym powiedział:

— Przecież z was nie dziecko i nie ślepiec. Widzicie, że na majdanie zupełna pustka, budynki dawne rozebrane, piece fabryczne porozwalane. więc nawet nikogo o to nie pytając, możecie sami zrozumieć, że tu już od lat kilku nikt nie zajmuje się pędzeniem smoły ni terpentyny.

— Ja dumał, że majdan furt chodzi...

— Najlepiej zrobicie — ciągnął Zawisza — gdy sami chodzić nie będziecie na taki majdan, który zastaniecie zewsząd pozamykany. A miło by wam było, gdyby do waszej chałupy wpakował się gwałtem jaki natręt...

— Ho, ho — mruknął chłop — chałupa to nie las! Chałupa moja, nie wasza, a las taki wasz, jak mój. Potrzebuję u Berczychy zapłacić za machorkę, albo za wódkę, to biegom, biegom, krugom, krugom, oblecę las, wyzbieram grzyby, potem z siekierą poszukam, z czego zrobić ogień fajny pod jangielką, ususzę pieknowato i do karczmy zaniosę z dziesięć wianków za różności, co się brało na borg. Żydy psiejuchy, pudami by brali. Prawdę mówię. Aboż nie? A gajowy jak widzi, że się w lesie drzewo rąbie, to się ino odwróci i pójdzie swoją drogą, bo niechby spróbował wygonić mnie z lasu, ho, ho, siekierą w łeb! Aboż nie?

Chłopcy spoglądali po sobie wzajemnie, a dusze w nich dygotały jako te listki na najbliższej osinie szeleszczące w drżeniu ciągłym. Jakiś krzyk wyrywał się z głębi ich istoty, ale niczyje usta nie przerwały milczenia.

Tymczasem chłop z pomarszczoną twarzą czerwono-ziemistą, zsunął czapkę w tył głowy, splunął i wybałuszając coraz bardziej oczy, jął wykrzykiwać dalej:

— Taki to panowy las, jak i mój. Co mi pan zrobi? A gdzie ja będę pasał bydlaki, jak nie w zagajniku. Ani leśnik mnie za to nie zruga, że się tam chojaków a świerków czy dąbczaków trochę natratuje w gąszczu, bo on jeden jest, a nas cała wieś, abo kilka wsiów na jego jednego. To ci będzie stojał smyrno, jakby u nas służył, nie u panów. Już my tu jednego zatłukli. Rychtyk mówię. Sądy były. A to bez to, że się mieszał do tego, co my po nocach z całej wioski konie zganiali w młody zagajnik, bo tam trawy po pas. Aj, to się tam szkapy nażarły, żeby nie starczył cztery fury owsa. Co się pan tak patrzy? Zwyczajna rzecz. Widzi pan, co... czyj las? Stój, stój!... gdzieś poszła, cholero, poczekaj, ja ci pokażę... stój! — wrzeszczał, a dogoniwszy klacz, okładał ją batem bez litości, wreszcie wskoczył na wóz toczący się po kolejce leśnej drożki z pagórka w dół, aż zniknął z oczu Lwów, którym się naraz zdało, że to we śnie zmora okropna piersi im tłoczy kolanem i za gardło dusi mrożącymi jak lód kleszczami...

O tej chwili właśnie cień wielkim skrzydłem zapadł na gromadkę junaków, bo czarna ogromna chmura wsunęła się na słońce. Janusz zaintonował piosenkę, którą z cicha chórem zaśpiewali przy swej pracy:

Kiedy słońce się schowa za chmury,
Świat się do was odezwie ponury.
Na noc długą
Blask zgasi szarugą.

Wtedy słońce, co płonie wam w duszy,
Nad świat wzejdzie, mur ciemnoty skruszy:
Na wiek długi
Spłyną światła strugi.

Ledwie śpiew ich zamilkł, chmura zsunęła się z tarczy słonecznej. Ów straszny człowiek, którego słowa jeszcze kłuły im uszy i serca, przepadł w borze.

Na polanie słońcem oblanej zrobiło się jaśniej. Tamten chmurny człowiek jak cień ćmił im tutaj światło... Odetchnęli po jego odejściu z ulgą w duszy — ale po czołach pogodnych drgała chmurka bolesnej troski i zadumy, jako tam na biwaku przed świtem około zagrody Dawidków, po sądzie nad Bomblem i po sprawozdaniu Bolka z wrażeń opieńkowskich.

Nad ich głowami skrzypiał już gotowy nowiutki żóraw, bez którego nieużyteczną pozostałaby dla obozu skautów dobra stara studnia pośrodku dawno opuszczonego przez ludzi Majdanu Góreckiego; więc kiedy im z rąk wypadły narzędzia, zapomnieli na chwilę, ile to czeka jeszcze pilnej i nieodzownej pracy, a mimowoli oddali się niepodzielnie żywej rozmowie na temat całego szeregu nowych niespodzianek, jakie im życie przyniosło; życie pełne zagadnień zawiłych i do rozwiązania trudnych, poplątanych z sobą niewidzialną siecią przyczyn, wymagających wniknięcia w głąb rzeczy...

Była chwila, że sobie wyrzucali, jak bardzo zawinili, przyjąwszy owego nieznajomego nie tak życzliwie, jak prawo rycerskie każe skautowi i jak dyktuje harcerzom serce, promieniejące jeno dobrocią i miłością bratnią dla wszystkich bez wyjątku jednako. Wszak można było od pierwszej chwili okazać obcemu uprzejmość, wszak należało odnosić się do niego z większą wyrozumiałością.

Cóż z tego, że on nie umiał wysłowić się należycie, by go zrozumiano, z czym przyszedł, pewny, że na tym majdanie leśnym po dawnemu mieszkają ludzie, którzy trudnią się wyrobem i handlem terpentyny i do których niegdyś chorzy na piersi zachodzili jak po „lek“, zażywany snać dla rychlejszego skutku nie kroplami, lecz od razu szklankami. Można było z nim w inny sposób prowadzić rozmowę, można było próbować przekonywać go, pouczać, objaśniać...

— Zatem dziś okazało się nie po raz pierwszy, jak to różne rzeczy inaczej wyglądają w teorii, a inaczej w praktyce — wołał jeden z Lwów. — Jesteśmy przekonani, że uprzejmość dla wszystkich bez wyjątku stała się już dla nas do tego stopnia drugą naturą, iż po prostu nie potrafimy popaść w niegrzeczność ani mimo woli. A tymczasem zjawia się człowiek, który nam nic nie zawinił, a my jak go przyjmujemy? Czy to było po harcersku, druhowie, przyznajcie...

— Albo to — odezwał się zaraz drugi — czy to jego wina, że on tak z moskiewska kaleczy niemiłosiernie swój język ojczysty? Czy on sobie zdaje sprawę z tego co czyni, starając się naśladować właśnie tych, którzy do wsi powrócą z mową skażoną w wojsku rosyjskim... Kto go pouczył w tych sprawach, od kogo miał się dowiedzieć, że wyrządza krzywdę niepowetowaną już nie sobie, nie najbliższemu otoczeniu, ale...

— Co tu dużo o tym mówić — przerwał druh w zapale towarzyszowi — wszyscy rozumiemy głębsze przyczyny złego, wszyscy czujemy co za niebezpieczeństwo grozi pod tym względem, wszyscy przekonywamy się, że po miastach siedząc, nikt nie ma ani w przybliżeniu pojęcia o rozmiarach szerzącej się coraz gorzej zarazy tam, gdzie nie dociera ani książka ani pismo, gdzie brak jeszcze elementarza...

— I dlatego — zakrzyknął żywo kto inny — czas zakasać rękawy i co rychlej brać się do roboty na tych wszystkich a wszystkich polach od razu, jednocześnie, a wszędzie z jednaką gotowością, wszędzie z tą dobrą wolą, jaką my harcerze — w społeczeństwach ludzkich możemy szczepić od młodu i szerzyć tak łatwo, jak nie zdołają starsi, inaczej wychowani.

(C. d. n.)